

Jadwiga Bińczycka

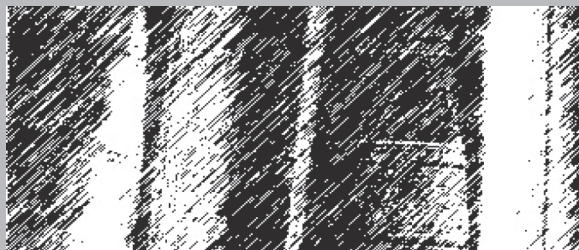
Korczakowski witraż dziecięcy

Chowanna 1, 27-38

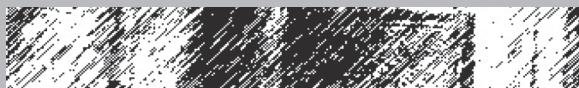
2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Bolesne dzieciństwo – przeszłość, teraźniejszość, a czy przyszłość?



JADWIGA BIŃCZYCKA

Korczakowski witraż dziecięcy

Korczak's childhood collage

Abstract: The article, in the face of some reflections on various forms of harm still experiencing by contemporary children despite some regulations and law protection. The author says that a lot of forms of a child harm can be found in the past — they are changing in their context, intensity, and places of occurring, but not their nature and their damaging consequences on child development. Janusz Korczak is reminded — his interest of a child and his sensitivity to difficult situations of children living in his time. There are some of Korczak's and other authors texts quoted, in which child harm is described; examples of inhuman child work and violent discipline. The author emphasis Korczak's genius of listening to children and painting a painfull pictures of child life.

Showing the picture of a childhood from the beginning of XX century, the authors asks the question: does the picture fit to a child from the beginning of XXI century?! When can we write a book "childhood — a happy picture"?

Key words: Janusz Korczak, childhood, child harm, child rights.

Dzieciństwo — witraż bolesny. Nie jest trudno dzisiaj dobrać ciemne kolory do tego witrażu. Wystarczy sięgnąć do statystyk, do badań, do sprawozdań z działalności pozarządowych organizacji, do świadectwa newsów medialnych. Media czerpią siłę (zyski z oglądalności) z podawania informacji o dzieciach, które zmarły w szpitalu po zakatowaniu ich przez konkubenta matki, o dzieciach — ofiarach ojcowskiego molestowania, o dzieciach porzuconych przez rodziców, którzy korzystając z otwartych granic, pognali za mirażem kariery i pieniądza, zapominając o obowiązkach rodzicielskich, o dzieciach głodnych, niedożywionych, bo ich opiekunowie — często uzależnieni od alkoholu — nie są zdolni do stworzenia im warunków godnego życia, normalnego rozwoju. Takie newsy rozchodzą się bardzo szybko, zapadają w pamięć bardzo wielu odbiorców. Taka ich codzienna dawka może zaowocować... zubożeniem bądź postawą niedowierzania, skłonnością do uogólniania: „dawniej tak się nie działo”, „za moich czasów to było nie do wyobrażenia”. Taka idealizacja przeszłości nie jest uprawniona. Bez większego trudu można w przeszłości znaleźć przykłady krzywdy dziecięcej. Wiele z tych krzywd ma długi, historyczny rodowód, wiele form przemocy wobec dzieci pojawia się współcześnie, czasami zmieniając środowisko, miejsce na mapie świata. Czasami krzywda dziecięca zmienia swój kształt, nasilenie, ale ciągle trwa... I nie pomaga odwoływanie się do faktów uchwalania deklaracji o prawach dziecka. Paradoksalnie, pojawianie się wzniosłych deklaracji praw dziecka do życia bez przemocy — istnienie tej przemocy i krzywdy potwierdza.

Ogłaszanie deklaracji miłości do dziecka, zapewnien, że szanujemy jego prawo do życia i podmiotowości, występuje po okresach szczególnego nasilenia aktów łamania tych praw. I tak Genewska Deklaracja Praw Dziecka powstała po I wojnie światowej, jej ONZ-etowska poprawka — po II wojnie światowej. W czasie tych wojen miliony dzieci umierały, skazywane były na koszmarną egzystencję. Uchwalona 20 lat temu Konwencja o Prawach Dziecka wyrosła z przekonania, że nie można poprzestać na papierowych deklaracjach, że trzeba ludzi związać umową, zobowiązaniem, że zapisanych praw będą przestrzegać.

Jaka jednak jest moc wykonawcza powołanego przez Konwencję [art. 43] Komitetu Praw Dziecka? Jaka jest wartość składanych przez państwa — strony „sprawozdań odnośnie środków, stosowanych przez nie dla realizacji praw zawartych w Konwencji oraz postępów w korzystaniu tych praw” [art. 44]? Ile w tych sprawozdaniach subiektywizmu, przekłamań, fałszerstw? Nie podejmując próby odpowiedzi na te pytania, chcę pójść drogą wydobywania z przeszłości obrazów krzywdy dziecięcej, krzywdy — która do dzisiaj trwa i nic nie wskazuje na to, by sytuacja w najbliższym czasie miała się zmienić na lepsze. Myślę o krzywdzie

bitego, katowanego dziecka, o krzywdzie zmuszania go do pracy ponad dziecięce — ludzkie siły. Chcę operować obrazami, a nie danymi statystycznymi. Obraz jest bardziej wymowny, silniej przemawia do odbiorcy. Na operowanie obrazem — słowem malowanym pozwala też poetyka tytułu całej naszej publikacji *Dzieciństwo — witraż bolesny*. Dobieram obrazy malowane oryginalnym, dziecięcym językiem, bo one charakteryzują się autentyzmem. Taki charakter mają spisane przez Marynę Rogowską-Falską — współpracownicę Korczaka, założycielkę Naszego Domu na Bielanych — *Wspomnienia z maleńkości*. Do tych *Wspomnień...* Korczak napisał taki tekst:

Zamiast wstępu —

Przypadł mi w udziale zaszczyt niezasłużony.

Podpisuję się pod dokumentem znaczenia historycznego.

Dziecko-artysta przemówiło językiem własnym.

Rewolucyjny tomik!

Kto sam nie zrozumie, temu długi wstęp, tłumaczenie — nie pomogą (Rogowska-Falska, 1959, s. 77).

Z tego tomiku wydobywam dwa teksty *Opowiada Janek* i *Opowiada Wacek*. Teksty te obrazują warunki, w jakich „wypoczywały” i pracowały nastolatki (Janek ma lat 11, Wacek 13) na początku XX wieku w Polsce. Bohaterowie tych opowiadań byli „zachęcani do pracy” biciem. Bicie jako metoda uczenia cnoty uczciwości wystąpi w cytowanym tekście Janusza Korczaka *Tomek — bityś*. Tu przeżycia bitego, katowanego dziecka opowiedziane są jego językiem. Chyba żaden opis świadka nie byłby w stanie przedstawić całej tragedii sytuacji. I na koniec tekst *Idą* — zbiorowa fotografia masy dzieci zdążających do szkoły. Opowiada sam Korczak. Ileż on w tej masie widzi bogactwa typów, losów dziecięcych — jak wyraziście maluje witraż dziecięcy z pierwszych lat XX wieku! Jak ten obraz przystaje do pierwszych lat XXI wieku?

Opowiada Janek

Jak nas tata zaprowadził tam na Smolną, to tam czekaliśmy z godzinę, tam stali ludzie z dziećmi za ogonkiem. I tam było napisane ogłoszenie „Zapis dzieci na wieś do chłopów”. Ale nie było napisane „paść krowy” — bo by nikt nie zaprowadził. Bo myślałby każdy: Jak ja będę umierać z głodu, to i ty przy mnie, już wszyscy razem, a do pastwiska by nie dał. Ale że nabujali to co? Powiedzieli, że na letniaki, że będą sobie latać, a tu tymczasem nie tak. I zapisaliśmy się tam, przebyliśmy tamuj na Smolnej — tydzień, w brudzie, bielizny

nam nie zmieniali. W jadalni puszczała koła, to podłoga była zupełnie jak bruk. Ściany poodrapywane, a śniadanie to składało się z gotowanej wody i kawałeczka chleba, to jeden drugiemu te kawałeczki chleba sprzedawał. A wody — ile kto chciał. Sama przegotowana, nic w niej nie było. A na obiad to znowu zrobaczywiały groch i kapusta szarniała, to wszyscy jedli, tylko krzyczeli: dużo, dużo. Tam był taki stary dziad, to go nazywali „starym dziadem”, on ciągle tylko chodził z fajką i ze swoją laską, jak któryś co złego zrobił, to lu-lu go zaraz przez plecy lachną, taką miał grubą, sękatą laską. A przy obiedzie, jak wszyscy jedli, to przechadzał się, podchodził i próbował z misek. A przy dolewce, to stał i pokazywał swoją laską, któremu dolewki dać, a któremu nie dać. To kucharka chciała, żeby po kolei wszyscy dostawali. Nie! On jeszcze na kucharkę wsiadł i po swojemu robił. I myśmy czekali tego wyjazdu na wieś jak zbawienia. Bo nam źle było. Sypialnie zamykali na noc, dopiero rano otwierali i krzyczeli — wsta-a-wać. A jak który nie wstał, to brali za nogi i ciągali. I robili to starsi chłopcy, którzy dawniej byli, oni się tak przyzwyczaili i tak zdziczeli w tym schronisku (Rogowska-Falska, 1959, s. 110).

Janek pojechał na wieś krowy paść — tak jak jego kolega Wacek.

Opowiada Wacek

Jak ja byłem na wsi, to mi kazali wszystko robić, wciąż kazali robić, gotować dla krów, dla świń, dla kur, królom dać jeść. Takie garnki były duże, że jak nie mogłem uradzić, to na brzuchu tak opierałem. Raz dla cielaka wystawiałem garczka z jedzeniem i tak sam oparłem o brzuch, a garczek się wymknął, bo był strasznie gorący i on wyleciał na ziemię i wylałem wszystko. Gospodyni zaczęła bardzo krzyczeć i musiałem drugi raz gotować. Krzyczała na mnie, ja aż się popłakałem z tego wszystkiego. I jeść mi się chciało, bo wpiery gotowali dla zwierząt, a potem dla nas. — To mi się jeść chciało, to wziąłem kartofel, co dla krów, ostrugałem i jadłem. Dopiero jak dałem wszystkim jeść, to wtenczas kazali mi iść do piwnicy po kartofle i obierać. — Krów z początku miałem 3, bo jedna była na wychowaniu u jednego gospodarza, co miał duże pastwisko, a potem było cztery i cielak. To w lato mi się ten cielak gził — uciekał w żyto lub kartofle, w szkodę. To ja za nim lecę, a wtedy te stare krowy lecą w groch i ja nie wiem, co robić, czy krowy wyganiać, czy cielaka. Aż siadłem i zacząłem płakać. Zły byłem na nich, zacząłem przeklinać rozmaicie na nich. I tak siedzę, przeklinam, a patrzę, że one coraz dalej idą w szkodę. Chwyciłem kamienia — takiego, że ledwie

objąłem ręką i w róg — krowę. Aż łbem zakręciła. Ja na południe nie przyganiałem krów, tylko mi przynosili jeść. I raz usnąłem tak przed obiadem, bo mi się spać chciało, bo gospodarstwo było duże, trzeba było o 2 wstawać, bo za czym się uprzątnie, co...

Jak się wieczorem uprzątneło z krowami, ze wszystkim, wszystkiemu dane było żryć, to wtedy gotowałem dla nas...

I raz wieczorem myśmy ugotowali dla świń i taka była straszna zawierucha, że aż wyspy nawiało tego śniegu; jak stodoła była, to na większe pół stodoły nasypało tego śniegu. I myśmy nieśli z tym chłopakiem jedno koryto ze zarcim dla krów, a gospodarz drugie — dla konia. Ale my tak idziem. A tu taki straszny wiatr, w usta nabrałem powietrza, ani w tą, ani w tą stronę odetchnąć nie mogę: krzyczę do tego chłopaka: „Zaczekaj, zaczekaj, bo powietrza nie mogę złapać.” A ten gospodarz jak nie krzyknie: „Ja wam tu zaczekam; chodźta prędzej”.

No jak my już wszystko zrobiliśmy, położyliśmy się spać i ja śpię, ale obudzam się w nocy, co mi taka mokra głowa. A to mi chłopak wymiotował na głowę, taką miałem kostropatą. Obudziłem się (Rogowska-Falska, 1959, s. 78—90).

Takie były „letniaki”, warunki pracy i wypoczynku małych chłopców z Warszawy. Ich rówieśnicy z Anglii — kilkadziesiąt lat wcześniej — mieli jeszcze trudniejsze doświadczenia. Ich losy opisuje Karol Marks w *Kapitale*. Parę dziecięcych wypowiedzi z tego czasu (połowa XIX wieku) i regionu. J. Murray, chłopiec dwunastoletni, zeznaje:

I run moulds and turn jigger (obracam koło). Przychodzę o 6 rano, czasem nawet o 4-tej. Pracowałem przez całą zeszłą noc do dziś rana do 6 godziny. Nie kładłem się spać od onegdaj. Oprócz mnie przez całą ostatnią noc pracowało jeszcze 8 lub 9 chłopców. Oprócz jednego, wszyscy przyszli dzisiaj rano znowu. Otrzymuję tygodniowo 3 szylingi 6 pensów. Za pracę całonocną nie dostaję nic więcej. W ostatnim tygodniu pracowałem przez dwie noce (Marks, 1968, s. 284).

O pracy w fabryce tapet mówi J. Lightbourne:

Mam lat 13. Poprzedniej zimy pracowaliśmy do 9 wieczorem, a zimą rok przedtem do 10. Poprzedniej zimy prawie co wieczór krzyczałem z bólu, który mi sprawiały pokaleczone nogi (Marks, 1968, s. 284).

G. Aspden: Tego mojego malca, gdy miał 7 lat, nosiłem zwykle na plecach przez śnieg w jedną i w drugą stronę, a pracował zwykle po

16 godzin! Nieraz klękałem, żeby go nakarmić, kiedy stał przy maszynie, gdyż nie wolno mu było ani odejść od niej, ani jej zatrzymać (Marks, 1968, s. 287).

O sytuacji w manufakturze zapalczanej K. Marks pisze tak:

Jest to manufaktura tak zniesławiona z powodu niezdrowych i wstrętnych warunków, że tylko najbardziej wynędzniała część klasy robotniczej, tylko na pół zagłodzone wdowy itp. oddają tam swoje dzieci — dzieci obszarpane, na pół zagłodzone, zupełnie opuszczone i pozbawione wszelkiego wychowania. Spośród świadków, przesłuchanych przez członka komisji White'a (1863), 270 osób miało mniej niż 18 lat, 40 mniej niż 10 lat, 10 miało tylko 8 lat, a 5 zaledwie 6 lat. Dzień roboczy trwający 12, 14 i 15 godzin na dobę, praca nocna, przerwy na posiłek nieregularne i spędzane przeważnie w samych warsztatach zapowietrzonych fosforem. Dante przekonałby się, że manufaktura ta przewyższa jego najstraszliwsze fantazje o piekle (Marks, 1968, s. 286).

Podobne przykłady krzywdy dziecięcej opisane w licznych raportach, na które powołuje się Marks, można by mnożyć. Ale po co? Nie jest moim celem prezentowanie obiektywnego obrazu przeszłości, statystyczna poprawność oceny zjawiska. Takiego celu nie potrafiłabym zrealizować. Chcę tylko wydobywać z przeszłości przykłady tej krzywdy — tym wymowniejsze, gdy opowiedziane językiem dziecka. Niestety, ten rodzaj krzywdy występował nie tylko w przeszłości — on występuje także współcześnie — tylko przeniósł się w inne rejony naszego świata — gdzieś na Daleki Wschód, do dalekiej Afryki. Ale w naszym globalnym świecie przy nieograniczonych możliwościach przekazu informacji — niewiele już można ukryć.

Inny rodzaj krzywdy znanej z przeszłości, ale również spotykanej dzisiaj — to bicie dzieci. Praktyka bicia, która została już przez wielu odrzucona, ma nadal swoich zwolenników i swoje współczesne dziecięce ofiary. Niezakończona została jeszcze dyskusja nad „bić albo nie bić — oto jest pytanie” (trawestacja T. Kotarbińskiego). Do tej dyskusji warto dorzucić głos bitego dziecka. Głos ten dochodzi do nas za sprawą Janusza Korczaka, który w *Dziecku salonu* tak opowieść bitego Tomka wspomina:

Tomek — bityś

Opowieść Tomka była bezładna. Nikt myśli nie numerował, nie pętał powijakiem gramatyki. Nie umie opowiadać, jak w ogóle ludzie, którym słowa nic w życiu nie dają.

Wikłał fakty, przeskakiwał z tematu na temat, wyjaśniał błahe wypadki, po kilkakroć powtarzał myśl lub zwrot, czepiając się go pijako. To nużył rozciągłością; to nagle rzucił porównaniem świetnym, zaczerpniętym z samego życia. Czasem urwał opowieść na połowie zdania i bacznie się nam przyglądał: czy nie powiedział za wiele?

Popijał piwo. Męczyła go czkawka...

I nagle w oczach Tomka odmalował się przestrach i zaczął opowiadać jeden drobny na pozór szczegół ze swego dzieciństwa. Epizod ten z życia bitego chłopaka nabrał w jego opowiadaniu kształtów prawie potwornych. Była to nieudana wyprawa do cudzego ogrodu na jabłka. — Stróż czy ogrodnik był czujny. Dokuczyły mu snadź kradzieże i zemścił się na jedenastoletnim chłopcu po swojemu brutalnie.

Wicek wlaź pierwszy, a potem my znowu na parkan. Ledwo my wskoczyli do ogrodu — parkan był niewysoki — a on już Staśka trzyma. Stał przyczajony, ściervo. Ja jego z tyłu w plecy; ale co taki rak ma za siłę; złapał mnie za rękę, oni wszyscy, szczeniaki, uciekli, i Stasiak także. Ani mi nie pogroził, ani uderzył — nic, nawet nie trzymał mocno, tylko leciutko. „Chodź powiada, dam ci jabłka za to że mnie chciałeś bić”. Poszliśmy głęboko w ogród, gdzie miał swój niby dom. Jak zamknął drzwi na klucz, tak ja już więcej nie oddychałem. Potem znowu okno zamknął. Kazał mi usiąść na stołku, bo się — powiada — zmęczyłem, jakem przez parkan przełaził, a on tymczasem poszuka jabłek. I zaczął zdejmować ze stołu, co tam leżały nasiona różne, i układał na ziemi. A wszystko, drań, tak powoli, że mu tylko na ręce patrzałem.

Tomek drgnął. Potem wyjął z kąta wicie i zaczął wybierać co grubsze. Potem moczył w wiadrze każdą osobno i próbował w powietrzu, aż świszczalo. Potem zaczął mnie sam powoli rozbierać, aż do naga. A ja nic: ani drgnę. Potem wziął mnie na ręce i położył na stole, i powiada: „Leż sobie teraz spokojnie; a wygodnie ci”? — I zaczął lać. Wcale nie trzymał, tylko lał. Jak tu krew, to on dalej bije, ale powoli. Posiekał mi skórę na karku, na nogach; a potem przekręcił i bił w brzuch i w piersi — aż do samej szyi. Co się jedna wic polamie, to bierze drugą. Już myślałem, że zabije. Ja ani krzyknąłem, tylko mi zęby latały i takem drżał. — Potem usiadł i sapał. A ja leżałem i ani się ruszyłem. Potem obejrzał mnie i powiada: „dobrze”. I wylał na mnie wiadro. Potem znów usiadł i kazał mi odpocząć. A potem ubrał mnie i wyprowadził z ogrodu, a już przy furtce, to dał mi jabłko i mówi: „A jak znowu będziesz chciał, to znowu przyjdź”. I jak nie lunie mnie w pysk, aż mi jabłko wyleciało z ręki, i nie podnosiłem go nawet.

Stoję ja przed parkanem i ani się ruszę. A tu był dalej plac, gdzie wywozili gruz i śmiecie. Stoję tak, a tu patrzę: coś się rusza. Ciem-

no, ale zobaczyłem kota: w śmieciach grzebie. Tak ja przykucnąłem cichutko i za cegłą. Kot spojrzął na mnie i ślepią mu się świecą — ścierwie. Ja się czaję i on się czai. Tak mnie rozirytował, że i o bólu całym zapomniałem, tylko patrzę co on zrobi. Dopiero jak on skoczył i w nogi, tak ja za nim cegłą. Przetraçałem mu, draniowi, łapy. Jeszcze chciał uciekać, a ja go za ogon. On drapie, a ja go łbem tak o kamienie, o ziemię, o ziemię. Aż go zameczyłem na śmierć.

Na drugi dzień wyrysowali mnie na parkanie ze spuchniętą gębą. Rozgniewali się, że im mówić nic nie chciałem, jeszcze drażnią: „Tomek! bityś”. I ten Stasiak drań także. Zapłaciłem mu za to. A od tego bicia dostałem ospy (Korczak, 1992, s. 392—393).

Korczak nie tylko wysłuchiwał opowieści Janków, Wacków, Tomków — on również wnikliwie obserwował i interpretował sceny z życia, w których bohaterem było dziecko. W tekście *Wiosna i dziecko* z 1927 roku — znajdujemy taki oto opis korczakowskich obserwacji:

A teraz epizod z ostatnich dni:

W Utracie pociąg przystaje na minutę. Wsiada towarzystwo: on, dwie one i pięcioletnie dziecko. — Tłok — pośpiech.

— Wsiadaj — nie ma miejsca — prędzej — dziękuję.

Zdobyli — śmieją się.

— Stój przy mnie — słyszysz?

— Czego ona się maże?

— Bo pociąg nadchodzi, a ona mi nagle znika.

— Ja chciałam do cioci.

— No to nie chciej.

Więcej nie pamiętam. — Dziecko ociera chusteczką skrwawioną wargę, mama uderzyła ją w twarz.

— I dalej wesoła rozmowa.

Zapytuję, co by było, gdyby nie dziecko, ale dorosły, mniej wrażliwy, zżyty z życiem, tysiąc razy z zewnątrz i z wewnątrz obity, schamiała — zapytuję, co za alarm wszcząłby się, gdyby w zamieszaniu niesprawiedliwie w pysk dostał człowiek dorosły? Oto tajemnica, dlaczego już w dziesięcioletnim człowieku dopiero pod całym śmietniskiem krzywd i policzków można dokopać się jego ludzkich odczuć.

Oto dlaczego powiadam mocno, że trzeba skończyć z fikcją naszego tkliwego i kłiwego dobrodziejskiego stosunku do dziecka, a trzeba zapytać do czego ono ma prawo (Korczak, 1983, s. 73—74).

Czy taka scena jak w *Utracie* nie mogłaby się wydarzyć dzisiaj? Czy wiele się zmieniło? Niech za odpowiedź na to pytanie posłużą słowa profesora Janusza Tazbira, który na zakończenie referatu *Stosunek do dziecka w okresie staropolskim* (konferencja pt. *Bici biją*, 2000 r.) powiedział, nawiązując do współczesności: „Kiedy słyszę kobietę, która zirytowanym i podniesionym głosem łaje kogoś na ulicy, to muszę się obejrzeć, aby stwierdzić, czy chodzi tu o psa, czy też o dziecko...” (Tazbir, 2001, s. 33).

Wiele można przytoczyć przykładów obojętności otoczenia, obojętności na to, co się dzieje z dziećmi sąsiadów zza ściany, obojętności, która czasami kończy się śmiercią bitego dziecka. Istnienie takich postaw skłoniło Fundację „Dzieci Niczyje”, by rozpocząć kampanię „Zobacz — usłysz — powiedz”. W tych trzech słowach-hasłach kryją się apele: nie bądź ślepy, głuchy, obojętny na krzywdę dziecka, wyostrz wzrok, słuch, gotowość do działania, do walki ze złem, stawiaj nie tylko na inteligencję rozumu, ale również na inteligencję serca, pamiętaj o inteligencji emocjonalnej. Bardzo żywy oddźwięk na projekt „Zobacz — usłysz — powiedz” (m.in. w środowisku korczakowców) — to z jednej strony potwierdzenie, że zjawisko przemocy wobec dzieci jest aktualne i nie takie marginalne, jakby chcieli niektórzy, a z drugiej strony to dowód, że zachodzą pozytywne zmiany w postawach społecznych.

I na koniec obraz, który nasuwa skojarzenie ze starą fotografią, z filmem, z masą dziecięcych bohaterów. Film może nosić tytuł *Idą*. Narratorem jest Korczak.

Idą

Ulica Marszałkowska. Ponury ranek jesienny. Skończyło się panowanie prostytutek — nocą; dzieci idą do szkół.

Idą.

Idą pojedynczo, po dwoje, po troje — chłopcy i dziewczęta — starsze, młodsze, najmłodsze — w nowych lub zrudziałych tornistrach — i ledwie od ziemi odrosłe — W szubkach lub szynelach na wyrost.

A nad dziećmi wąski pas kirem zasnutego nieba, na które nie patrzą, a pod stopami wilgotne błotem kamienie.

Idą drobnymi, szybkimi krokami — młodsze, i poważnie, ociężale — z klas wyższych. Mijają się, krzyżują, prześcigają, spotykają — witają podaniem ręki — chłopcy, lub pocałunkiem dziewczęta, i idą razem, mówiąc o lekcjach dzisiejszych, klasowym zadaniu lub ostatnim w tym kwartale dyktandzie.

Idą — objęte wspólnym mianem „młodzieży szkolnej”, która ma ulgi w tramwajach. W czapkach z rozmaitymi znaczkami, w kapturkach i kapeluszach, przybranych wstążką, piórkiem, puszkiem, w kalo-

szach lub bez kaloszy, zapięte na wszystkie guziki lub tak tylko sobie — byle z domu prędszej wyprawić.

Idą do szkół — ...do pierwszo- lub drugorzędnych, do renomowanych i mało lub wcale nieznanych. A każde ma kogoś, kto mu do tornistra włożył bułkę lub dwie bułki, z wędliną lub pieczenią od wczoraj, kto wpis opłaca i w domu pyta o stopnie — i mówi: „ucz się”.

Idą — o włosach jasnych i ciemnych, ładne i brzydkie; podobne do mamy lub taty, takie, które „nos szpeci lub oczy zdobią, usta mają za szerokie lub gryzą paznokcie”. Idą dzieci paralityków, głupców, suchotników, ideowców, kokot salonowych, rozpustników, lichwiarzy, fabrykantów. Idą — których lekarz nie pozwolił forsować, idą za wcześniej lub za późno oddane do szkoły, pierwszo- i drugoroczne, które trzeba prosić, aby jadły, które tran piją, które stanowią całą, pół lub ćwierć pociechy rodziców — i półsieroty — i sieroty...

Wiedzą, że za dwa dni niedziela, że w przyszłym tygodniu nie ma święta — za dwa tygodnie — galówka, za sześć dopiero miesięcy — wakacje...

Idą — dobrze lub źle wychowane, psute przez mamę ojca, dziadków, lub za surowo chowane — którym idzie łatwo, łatwiej, najłatwiej — trudno, trudniej, najtrudniej — które „cudem przechodzą” lub pół nocy siedzą nad książką, książkę pod poduszkę kładą i rano wstają, żeby powtórzyć. I te, które piszą wypracowania „dla całej klasy”, ale ściągają zadania; które zaraz zasypiają, gdy się położą, lub długo mają oczy otwarte, bo chcą wiedzieć jak się zasypia, albo myślą o różnych, różnych rzeczach, albo w ogóle zasnąć nie mogą. Leniwe i kowale, które z byle czego lub rzadko się śmieją, uległe lub uparte jak kozieł. Lubiane lub nie lubiane przez klasę; które ze wszystkiego się zawsze wykręcą — i mogą lekcji nie umieć, a piątkę dostać — śmiałe i lękliwe, radykalni i ugodowcy szkolni — kłamcy i prawdomówne — które chcą i nie chcą, dobrze lub źle podpowiadają — królewieta i kopciuchy szkoły i kinderbalów — które „chlubę lub wstyd rodzicom przynoszą”.

Idą dzieci małżeństw z rachunku, przypadku, miłości, litości lub obowiązku — małżeństw dobranych lub niedobrych, niby szczęśliwych i nieszczęśliwych — zawartych za zgodą lub bez zgody rodziców — gdzie ojciec wziął lub nie wziął posagu, lub stracił posag, lub tylko mu obiecano. Dzieci małżeństw, gdzie ojciec karciarz, kobieciarz — a mama go kocha i płacze po nocach, lub mama gości przyjmuje, a ojciec myśli o wszystkim; gdzie mama lub ojciec chory albo zniechęcony, albo nerwowy — gdzie rodzice się kłóca, jedno skąpe a drugie rozrzutne; gdzie starsza siostra akurat się zaręczyła lub wczoraj urodził się braciszek; dzieci długo oczekiwane i z rado-

ścią witane, lub witane niechętnie, przez nieostrożność poczęte — a później nic zrobić już się nie udało.

Idą i obliczają, z czego dziś na pewno i może odpowiadać będą, czy będą wyrwane na poprawkę, czy chory nauczyciel już zdrów i przyjdzie i w jakim będzie humorze. Idą i mówią o nauczycielach, o ostrych i łagodnych, sprawiedliwych i niesprawiedliwych, takich, co dużo lub sami nic nie umieją.

Idą dzieci, kształcone z wysiłkiem lub z nałogu. Idą — które mają lub nie mają własnego pokoju, które uczą się w stołowym, sypialni, same lub z rodzeństwem, którym pomaga „rutynowany i energiczny” korepetytor lub same radzić sobie muszą; które uczą się grać na fortepianie i „języków” lub drżą, że przełożona znów się o wpis upomni; gdzie jest lub nie ma salonu, jest lokaj lub „do wszystkiego”, lub wcale nie ma służącej; które za piątkę rubla dostają lub za dwójkę baty od ojca. Które marzą o kucu lub sławie, o nowej sukience — lub — niezależności kobiet...

Taki wielki tłum dzieci, taki długi sznur ludzi; taki nieskończony szereg przyszłych lekarzy, techników, ładacznicy balowych, kucharek i działaczek, księży, adwokatów, głów szalonych, kamieniczników i wykolejeńców, wodzirejów, marzycieli, plotkarek o kurzych mózgach, filantropki na gumach, karierowiczów w najrozmaitszych zawodach i szubrawców. I tyle łez, i tyle istnień zmarnowanych.

Idą — które bez pardonu roztrącać będą — i takie, które pierwsza złamie zawada; które przejdą przez życie jak przez froterowaną posadzkę salonu, lub które wzrok zatopiają, głębiej — jeszcze i jeszcze głębiej — i w górę wzrok wzniosą, i gwiazdy ujrzą. I ku gwiazdzie wzlecieć zapragną — ale zawrócą, bo im wyżej, tym mroczniej i chłodniej, a w chlewiku ciepło, choć duszno — i te, które się nie cofną z pół drogi (Korczak, 1992, s. 292—294).

Tak widział Korczak dziecięcą masę i jej pojedynczych przedstawicieli na początku XX wieku. Czy mógł wtedy przewidzieć, że tak wiele z tych dzieci pochłona kataklizmy wojenne, obozy zagłady, nieludzkie czasy? Czy przeczuwał już wtedy, że wiek XX nie będzie — jak chciała tego Ellen Key — „wiekiem dziecka”? A czy początek XXI wieku taki czas zapowiada? Kiedy będzie można zbierać materiały do książki *Dzieciństwo — witraż radosny?*

Bibliografia

- Bińczycka J., red., 2001: *Bici biją*. Warszawa.
- Falkowska M., 1983: *Myśl pedagogiczna Janusza Korczaka. Nowe źródła*. Warszawa.
- Korczak J., 1992: *Dzieła*. T. 1. Warszawa.
- Rogowska-Falska M., 1959: *Zakład Wychowawczy „Nasz Dom”. Wspomnienia z młodości*. Warszawa.
- Marx K., 1968: *Kapitał*. W: K. Marx, F. Engels: *Dzieła*. T. 23. Przeł. J. Dewitz, K. Błeszczyński. Warszawa.
- Tazbir J., 2001: *Stosunek do dziecka w okresie staropolskim*. W: *Bici biją*. Red. J. Bińczycka. Warszawa.